

dę pańskiego hotelu. Upał można krajać nożem. Jeżeli mnie pan ciśnie o ścianę, to się do niej przylepie.

— Byli tu dwaj pańscy przyjaciele i pani — odpowiada Mac-Shanus, smętnie się uśmiechając — pytali się o pana i kazali mi powiedzieć, że uciekają na cały dzień do Kostelicy i że radzą panu zrobić to samo.

— Nie pojadę — siadam na pobliskim stoliku nawprost gospodarsza i wygłaszam mniej więcej to:

Tutaj niebo jest wymalowane olejną farbą, kapiącą mi na głowę. Morze odstrasza zapachem i zielonkawym połorem roztopionego mydła. Liście cyprysów i pinji są wycięte z blachy i polakierowane. Oto niezmienna maska natury, podobna masce grzecznego uśmiechu, przysyłającej spalone twarze ludzkie i drażniącej bezprzedmiotową zagadkowością. Tam, na północy, jest przejrzysty seledyn nieba i flotylla chmur przywiana dobrym wiatrem. Białe niewiasty brzóz z gromnicami w ręku i płaczki-wierzby nurzające włosy w bystrych, szumiących rzekach. Horyzonty porysowane zębatą linią sosnowych lasów i kredowych wzgórz, rzucających trójkąty niebieskawego cienia. Miedziane słońce zachodu obsuwa się po krawędzi dymiących łąk, mokre od kroplistej rosy... O, tam jest inaczej!...

Mac-Shanus, kryjąc uśmiech pod obwisłym wąsem, zapala cygaro.

II.

Jakże inaczej wygląda wieczór w małym portowym mieście adriatyckiego wybrzeża. Granatowe niebo, szybko zmieniawszy gammę kolorów od zieleni poprzez fiolet i czerwień, opada nisko nawisłą płachtą czarnego aksamitu. Wynurzają się zaciśnięte pięści gwiazd i wychyla się na nieboskłonie wąsko zakrzywiony nóż księżyca. Na bulwarze nadbrzeżnym amerykańscy marynarze w jedwabnych koszulach, z rękoma tkwiącemi głęboko w kieszeniach fałdziście opadających spodni, przepasanych rzemykiem — rzucają rechoty śmiechu wślad za kaprawą, jak przejrzała śliwka, dalmatynką. Grzbiety uliczek przeciągają się i pokrywają mieniającą się łuską zbitych, falujących tłumów; są tu fezy, zawoje, kwefy, szarawary, chałaty i białe mundury marynarskie. Na zakręcie trąbi automobil poprzedzony awangardą dwóch białych snopów, tnących, jakby nożycami, sunącą taśmę ciżby. Dźwięki mandolin i gitar mieszają się gdzieś z brzękiem tłuczonego szkła. Wystrzela zygzagowato ponad poziom równego gwaru raca kobiecego śmiechu. Grecy, łyskający białością zębów pod puszystym wąsem, wynoszą z ciemnych pieczar ka wiarnianych na skrzyżowania ulic gardłowe okrzyki: drachmy, franki, dynary... Purpurowe oko kina wygarnia z ciemności kłęby tłumy i skie-